

Mirosław Derecki

ROBOTNICY LUBLINA: DROGA DO DOMU

Ani tak ani siak. Od czego - myślę - zacząć? Potrzebna myśl - koncepcja. Myśl przewodnia. Zawiązanie tematu, kulminacja, finał. I temu tam podobne sprawy. Ktoś powiedział: „magma słów, zdarzeń”. Z tej magmy reporter ma wyłuskać to, co najistotniejsze. Najważniejsze - powtarzam sobie za tymi, którzy się znają na pisaniu - to dobrze zebrać materiał, potem pisanie przyjdzie już samo, pociągnie się opowieść od początku aż do końca.

A co to znaczy: „dobrze zebrać materiał?” Trafić na rozmówcę, który potrafi opowiadać barwnie, ma dar wymowy, wszystko, co mówi, ma od dawna posegregowane i poszufladkowane w umyśle i często powtarza swoją opowieść, jak dobrze wyuczoną lekcję? Jak się nie potkniesz, nie pogubisz w notowaniu, proszę bardzo, jaki ci później śliczny bohater socjalistycznego trudu albo wojennych zmagania z okupantem wyłazi zza taśmy maszyny do pisania! A jeśli on, na przykład, nie ma daru wymowy? I nie dzielił się dotąd swoimi najważniejszymi w życiu zdarzeniami z rodziną i znajomymi? Jeżeli nawet nie może powiedzieć dokładnie, co było, co dla niego jest najważniejsze, bo chociaż to w nim tkwi, nigdy się nad tym nie rozdrabniał, nie analizował? I jeżeli on się z tobą razem męczy godzinami, przeskakuje z tematu na temat, miesza fakty, daty, nazwiska, kołuje, sam się gubi w swoim życiu?

A potem nagle coś się w nim przełamuje i okazuje się, że jeden drobny incydent z kilkunastu tysięcy przeżytych dni jest właśnie sprawą najważniejszą, najbardziej istotną i że właśnie ten incydent, nad którym już przecież kilkakrotnie w rozmowie z tobą przechodził do porządku dziennego, pomijał go, rozwija się w opowieść barwną i niebezpiecznie rozdymającą ramy twojej zamierzonej „koncepcji”, z którą szedłeś do niego, w którą zamierzałeś go wtłoczyć? Bo ty miałeś na przykład przedstawić go jako „budowniczego socjalizmu” i tak ci mówili w redakcji: „znajdź, poszukaj jakiegoś robotnika związanego ściśle z naszym przemysłem terenowym, pokaż go, przedstaw, wypunktuj, no zresztą sam wiesz...” A znowu w przedsiębiorstwie, kiedy go już znalazłeś, ale jeszcze nie pogadałeś z nim na dobre, jego zwierzchnicy mówili do ciebie: „Wiecie, my właśnie jego wam polecamy, bo wiecie, to bardzo zasłużony pracownik, pracuje u nas już od samego początku, przodownik, wiecie, ordery ma za zasługi i w ogóle, no, postać, o której warto i trzeba napisać i dobrze się stało, żeście się do nas pofatygowali...”

A później ten człowiek, do którego przyszedłeś, do jego domu, w gorący, ostatni kwietniowy

wieczór, siedzi z tobą przy okrągłym, zasłanym czystym obrusem stole (młodsza córka zadrzemała na tapczanie, starsza w drugim kącie pokoju odrabia lekcje, żona śledzi program telewizyjny, ale potencjometr jest ledwie, ledwie przekręcony w prawo, żeby wam telewizor nie przeszkadzał w rozmowie), więc on siedzi przy stole i mówi: „tak, pracuje się już w tym przedsiębiorstwie prawie dwadzieścia lat, no cóż, roboty różne się robiło, wie pan ja jestem brukarzem z zawodu, więc się bruki układa gdzie trzeba, kostkę, klinkier, ale potrafię i terakotę, no cóż, gdzie wystali to tam robiłem, w terenie i w Lublinie, o na przykład taka Fabryka Samochodów Ciężarowych, to już tam od samego początku budowy, jeszcze jak się wszystko zaczynało kręcić, jeszcze jak stał tylko ten przedwojenny budynek, co od niego się wszystko zaczęło, ja tam, panie, przez osiem lat kostkę i kamień na jezdniach i w halach produkcyjnych kładłem, tysiące metrów kwadratowych, co teraz ludzie po nich nogami chodzą, to ja, proszę pana, własnymi rękami... a tak w ogóle to cóż, nic nadzwyczajnego, pracowało się, pracuje i będzie się pracować, co tu pisać o tym, to nic takiego nadzwyczajnego, no cóż, proszę pana, po prostu praca, życie...”

Więc co on ma niby opowiadać? Jak z wrogami klasy robotniczej walczył, jak rekordy bił, trójki brukarskie wymyślał, jak go eksponowano i hołubiono i prasa się o nim rozpisywała i zdjęcia jego z towarzyszami wisiały na rogach ulic? A jak on z wrogami nie walczył i trójek nie wymyślał, tylko zwyczajnie, na kolanach, układał kamienie, to co, ja nie powinienem o nim pisać? On uważa, że pisać nie ma o czym i opowiadać nie ma o czym, on uważa, że dwadzieścia lat to nic, po prostu praca i życie i nie ma się czym chwalić. Ja myślę inaczej, ale go nie przekonam.

No dobrze, ale skąd to zdziwienie u mnie, skąd ta podskórna nutka żalu, że on mi tak - bez efektownych historyjek, akcentów? Zrozumiałe. Dziennikarska rutyna. Żal, że bez efekciarstwa. Jak robotnik, to taki, że hej! Jak bohater socjalistycznej roboty, to takiej, że Jezus- -maria! A on mi: „nic, dwadzieścia lat bez przerwy kamienie układam”.

No i właśnie wszystko w porządku. Bo o kim ja właściwie ciągnę swój cykl w „Kamienie”, o gierojach, monumentach? Tych zostawmy na użytek akademii. Ja piszę o ludziach, którzy są lubelskimi robotnikami. To wszystko. A on, on w tym wypadku nazywa się Antoni Załuski (Lublin, ul. Jaczewskiego 1/3 m. 6), jest jednym z nich. Jednym z wielu tysięcy.

Nie, nie było między nami tak zwanego kontaktu. Z jednym człowiekiem idzie jak po maśle, drugi zaszyje się niby ślimak w skorupie i... nic. Ze ślimakiem określenie wyświechtane, ale co tu gadać celne. Oddaje istotę rzeczy. Jak się taki człowiek skryje, jest już na niego tylko jeden, ostateczny sposób: zyciorys. To znaczy poprosić go, żeby opowiadał wszystko od początku, prawie od urodzenia. Od pójścia do szkoły. Od imienin ciotki lub babci. Ludzie często nie lubią pytań z gatunku problemowych. Albo - „kompleksowych”. A tak, bariera nieufności łatwiej ulega przełamaniu. Dziennikarze nazywają czasem taki chwyt „rozkręceniem” rozmówcy.

Początek mniej ważny, więc dlatego tylko w kilku zdaniach. On pochodzi z kresów, z Równego. Tam mieszkali rodzice i tam urodziło im się czworo dzieci. W kolejności: Józef, Antoni, Władysław i Henryka.

Matka umarła wcześniej, jeszcze przed wojną, ale ojciec i całe rodzeństwo przeżyło okupację i potem, rozrzucani po całej Polsce, długo odnajdywali się. Ojciec ze starszymi synami pracował do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej jako robotnik w ogrodach wojskowych jednostek stacjonujących w Równem. W 1941 r. Antoni Załuski został zmobilizowany, trafił do pułku radzieckiej piechoty pancерnej. W pierwszych dniach wojny pułk ten został rozbity, Antoni wrócił do domu, do 1944 roku pracował jako robotnik ziemny.

24 stycznia 1944 r. Antoni wraz z młodszym bratem, Władysławem, zostają powtórnie wcieleni w szeregi Armii Czerwonej. Ich jednostka wchodzi w skład Frontu Białoruskiego. Obydwaj pełnią służbę w tej samej drużynie 54 pułku piechoty. Antoni jest dowódcą drużyny. W walkach koło Kijowa zostaje ciężko ranny podczas natarcia. Idzie na dwa i pół miesiąca do szpitala, komendę nad drużyną przejmuje Władysław. W tym miejscu ich drogi rozchodzą się na cztery lata, podczas których obaj zostaną uznani za poległych.

Ze szpitala Antoni trafia już na Front Ukraiński. W szeregach pierwszego batalionu szturmowego 109 pułku piechoty 39 dywizji Armii Radzieckiej, stale w pierwszej linii, dojdzie aż do Wrocławia. Brat w tym czasie walczy w Czechosłowacji. Ojciec, brat najstarszy i siostra od dawna już żyją na wolnych terenach, w rodzinnym Równem.

Zresztą, to wszystko nie jest najważniejsze. To tylko ekspozycja. Tylko pendant do sprawy bardzo istotnej. Do jednej nocy i jednego poranka na przedpolach Wrocławia. Do kilkunastu godzin, kilku czynności, o których się nie mówi na co dzień, a jakie, być może, zaważyły na całej późniejszej filozofii życiowej brukarza z lubelskiej „Przemysłówki”. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Zaczyna się ta cała historia w nocy z 15 na 16 marca 1945 r. Otóż piętnastego wieczorem forsowali całym batalionem odnogę Odry, a Wrocław był już tak blisko, że po prostu ręką sięgnąć. Tylko, co tu gadać, z sięganiem nie było łatwo, bo Niemcy byli dobrze okopani i dokładnie wstrzelani w ich pozycje, tak, że złość brała - widać już dobrze budynki płonącego miasta, ale co z tego, jak podejść się nie daje w żaden sposób? No, najwyżej po kawałeczku, po pięćdziesiąt, sto metrów i to z jakimi stratami własnymi! Ale - jak się rzekło - piętnastego wieczorem ruszyli ostro do przodu i pod cholernym ostrzałem, jak kto mógł, na łódkach, na tratwach albo po prostu czepiając się lin, przeciągniętych od brzegu do brzegu, przeszli na drugą stronę, na wzgórek. I tam już musieli czekać rannego natarcia, zresztą nawet jakby chcieli iść na Niemców teraz, nie było z kim, bo w czasie przeprawy ich batalion, a także sąsiedni, zostały zdziesiątkowane do tego stopnia, że tam, na tym wzgórzu, jeden lejtnant usiadł w leju po pocisku i płakał z żalu i ze złości.

Więc zostali na noc, poryli sobie saperkami jamy, czekają aż się rozwidni. Są podenerwowani, bo jak dobiegli na wzgórek już się dobrze ściemniło i nie zdołali się zorientować w sytuacji, gdzie właściwie teraz Niemcy, gdzie swoi, gdzie linia frontu. Ale nic, leżą, czekają. Zaczął padać deszcz, świeżo rozkopana glina rozplywa się pod człowiekiem w jedno bajoro, można dostać kataru. „Słysz ty - mówi do Załuskiego jego kumpel z tego samego rowu - nam by nada kakoju nibud' padstilkę, a

to brat na smiert' prastudiszsia". - „Skazano - dziełano” pomyślał sobie Załuski i wylazi z dołka - ciemno jak w rodzinnym grobie, więc nawet mu przeszedł strach przed niemieckimi snajperami - żeby poszukać trochę trawy na podściółkę. Nawet się nie czołgał, bo mu żal było mundur uszargać, tylko laź nogami wśród trupów i różnego porozrzucanego wojskowego szmelcu, tyle że dobrze pochylony, żeby go Niemcy na tle nieba nie przyuważyli.

I raptem on staje na coś miękkiego. Trup to nie jest, jakieś to płaskie, podłużne. I co się okazuje? Że - materac. Materac z łóżka. Ale skąd się mógł tam wziąć, diabli wiedzą, dopiero rano się wyjaśniło. Ściągnął ten materac ma się rozumieć do okopu i już do samego rana było dobrze, ciepło i wygodnie. A jeszcze pod koniec nocy przyszedł rozkaz podawany z jamy do jamy, że o piątej trzydzieści czasu moskiewskiego zaczynają natarcie.

Czwarta rano, robi się szarówka, oni podnoszą głowy, ale tylko ledwo, ledwo nad brzeg jamy, żaby Niemcy ruchu nie zauważyli i zaczynają się rozglądać, co i jak. Patrzą, na lewo stoją cztery rozbite czołgi niemieckie. Jeden ma lufę zwiniętą w obarzanek. Ale czołgi - nieważne. Patrzą na wprost - źle, kilkanaście metrów przed nimi niziutki nasyp kolejowy zasłaniający widoczność, kto wie, czy za nim nie siedzą hitlerowcy. No, ale było nie było, leżą, czekają.

Równo o piątej trzydzieści wstali i poszli przed siebie. I naraz - piekło. Niemcy zaczęli bić z czego popadło, ale to tak, jak Załuski jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył, a najgorsze były ich moździerze. Nasi, ma się rozumieć, zaczęli im odpowiadać i nie gorzej, albo i lepiej bili niż tamci, więc w pewnej chwili zrobiło się tak, że oni, chociaż przecież starzy frontowcy, już nie wiedzieli dobrze, z której strony lecą pociski i gdzie swoi, a gdzie nieprzyjaciel, gdzie ziemia, a gdzie niebo. Nad całą okolicą stała jakby żółta mgła z wyrzucanej wybuchami w powietrze gliny i na kilka kroków nie można było rozróżnić ludzkiej sylwetki. Oni padali co pewien czas i przywierali ustami do ziemi, bo tylko wtedy można było swobodnie oddychać, inaczej podmuch powietrza rozrywał płuca. I nie czuli już nawet strachu, już nic prawie nie czuli, tylko po chwili wytchnienia wstawali i szli dalej, szli na ślepo przez tę cholerna żółtą zasłonę kurzu i nawet nie zdawali sobie sprawy, czy idą w dobrym kierunku, a tylko wiedzieli na pewno, bez żadnej wątpliwości, że muszą iść ciągle przed siebie, bo tak być musi i oni w sobie ten mus czują.

Potem kurz zaczął opadać i kiedy rozejrzeli się w prawo i w lewo zobaczyli, że linia natarcia załamała się i że są już daleko za torem kolejowym. Niemcy uciekli, oni wchodzą do opuszczonych okopów, a tam wala się pełno łózkowych betów, pod którymi tamci grzali się w czasie zimnych marcowych nocy. I w tym momencie dla Antoniego Załuskiego skończyła się druga wojna światowa. Wybuchu nie usłyszał. Poleciał w górę, zrobiło z niego karuzelę - i tyle. Jak otworzył oczy, leżał w szpitalu polowym, a Wrocław był zdobyty. Jak wychodził ze szpitala, „politrucy” zbierali ozdrowieńców i mówili im o bliskim końcu wojny i o zbliżającym się święcie 1 Maja.

Potem przydział do polskiej jednostki wojskowej i wyjazd na tyły. I ten pierwszy powojenny maj to było też pierwsze spotkanie Załuskiego z Lublinem. Został zresztą tutaj na stałe.

Więc wracam teraz od niego ciepłymi, wieczornymi ulicami Lublina, naokoło jest rojno i gwarno, bo i wiosna nareszcie przysłała i ludzie szykują frontony domów do jutrzejszego święta - jest 30 kwietnia - i myślę o konstrukcji i kulminacji i co jest ważniejsze w życiu, czy te dwadzieścia lat na budowie, czy kilkanaście minut w natarciu, a może przez całe życie jedno rzutuje na drugie i dlaczego o tym i o tamtym tak trudno zwierzyć się drugiemu człowiekowi?

Pierwodruk: „Kamena”, 1969, nr 11, s. 4.